Ner 2. Kraków, dnia 16go Stycznia 1872. Rok IV.

WŁOŚCIANIN.

Pismo dla ludu.

Włościanin wychodzi 1 i 16 każdego miesiąca. — Włościanin kosztuje rocznie Zł. 3 w. a., półrocznie Zł. 1 cent. 50, kwartalnie cent. 75. — Ktoby sobie życzył przesłać z przedpłatą na „Włościanina" zarazem i przedpłatę na „Zagrodę" — płaci za oba pisma: rocznie Zł. 4 cent. 60, półrocznie Zł. 2 cent. 30, kwartalnie Zł. 1 centów 15.
(Zagroda wychodzi 8 i 24 każdego miesiąca.)

Ogłoszenia przyjmuje się po 4 centy od wiérsza, z dopłatą 30 centów na stempel. — Listy lub przekazy pocztowe należy przesyłać pod adresem: Do redakcyi „Włościanina" Ulica Gołębia wyższa Nr. 169, 2 piętro.

KTO POD KIM DOŁKI KOPIE, SAM W NIE WPADA.

(Powiastka).

Bywało często za młodych lat, wziąwszy torbę podróżną na plecy, kij sękaty za towarzysza, i mając jaki taki zapasik pieniędzy, puszczałem się z wioski do wioski z miasta do miasteczka naszéj drogiej ziemi. Nieraz téż i parę tygodni tak się przepędziło; ale za to, z każdéj takiej podróży zawsze się coś zostało w głowie. A że człowiek i pisze niezłą kaligrafią i od czasu do czasu przeczytą niejedną książczynę, więc nieraz przyszła ochota zapisać sobie to, co się widziało we świecie, z kim się żyło albo zrobiło znajomość tak w ubogiej chacie chłopka, jak i pod dachem bogatego panka. I dobrzem téż zrobił spisując wszystko w podróży — a zapisałem wiele, bo jak to mówią, i na wołowej skórzeby tego nie pomieścił, choćby siał makiem litery. Abyście zaś mieli jakie takie wyobrażenie, com pisał, gdziem ja to bywał, — com robił, — opowiem wam tutaj jedno zdarzenie.

Komukolwiek przyszło robić podróż w czasie upałów czerwcowych, ten wie doskonale, że i milę trudno przebiedz bez wypoczynku. Jedna z moich podróży, przypadła mi właśnie w tym miesiącu. Zaledwiem téż uszedł mało więcej pół mili, tak osłabłem na siłach, że ledwom się trzymał na nogach, nawet i piękna okolica nie mogła mnie ożywić.

— Ha! myślę sobie, toć daléj iść nie podobna, pójdę więc powoli, tak oto, noga za nogą, a przecież się zawlekę do téj wioski, co stoi przy drodze, A trzeba wam wiedzieć, że owa wioska nie była więcéj oddalona odemnie jak na wiorstę drogi.

Po niejakim czasie doszedłem wreszcie i do celu. Na samym wstępie do wioski, która się ciągnęła daléj po wzgórzach umajonych drzewami, stała duża karczma. Gdyby mi przyszło sądzić o całej wsi z saméj karczmy, powiedziałbym, że nie ma piękniejszego sioła, jak Wola, tak się bowiem nazywała wioska, do któréj przybyłem. Karczma tedy, był to sobie duży budynek murowany o czterech izbach z dużemi oknami i szerokiej sieni. Opodal karczmy stała dosyć obszerna stajnia z wysokim dachem, do któréj przytykało kilka pomniejszych zabudowań gospodarskich. Po za budynkami zaś, — het ku lasowi ciągły się łany falujące przenicą i żytem za lada wionięciem wiatru. I gdyby nie gwar dolatujący z głębi budynku, i gdyby nie szyld ponad bramą, na którym były malowane flaszki, beczka, i kilku włościan pijanych, siedzących za stołem, — powiedziałbyś, że to nie karczma, ale dworek, lub zagroda bogatego kmiecia.

Ucieszył mnie téż bardzo widok podobnéj karczmy, boć, myślę sobie, kiedy tu ludziska mogą mieć taką porządną karczmę, to chatę i gospodarstwa niezawodnie prowadzą wzorowo. Stare bowiem przysłowie uczy, jaki pan, taki kram, — więc téż i gospodarze muszą być rządni i bogaci, kiedy sobie zbudowali taki piękny budynek, przeznaczony dla zabawy.

Poprawiwszy tedy torbę podróżną na plecach, otrzepawszy się nieco z kurzu wchodzę wesoły do karczmy.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, odzywam się do podpiłéj niezłe gromadki ludu. Nie odpowiedziano mi i słowa na moje pozdrowienie. Myśląc że mnie nie słyszano, po-

wtarzam jeszcze raz powyższe słowa, a tu nic, jeno gadania, śmiechy i potrącenia kieliszkiem.

— Kiepska sprawa mruknę sobie pod nosem, — to się zabawili, że nawet na obcego człeka nie uważają. Trza tu zacząć z innéj beczki, — ot pójdę do szynkwasu — i basta, — a pewno wpadnę im w oko.

Zaledwiem domruczał tych słów — aż tu słyszę głos żydka małego, z długiemi pejsami i dosyć dużą brodą.

— Ny, jak się jegimość ma? — jegimość podróżny? a skąd to? może pan co wipije, — a ja mam wszystki trunków u mnie.

— Co ty chcesz odemnie? odpowiem.

— Ny bo ja wiem, co ja chcę, — ja nic nie chcę, może jegimość co chce, u mnie jest wsistko.

— Ja chcę spocząć, — bom się zmęczył podróżą.

— To ser gut, jest dobrze.

Rozmowa moja z Mośkiem, co był arendarzem w téj karczmie, zwróciła na siebie uwagę podochoconych włościan. Przystąpiło też kilku z nich do mnie i zapytuje:

— A skąd to Bóg prowadzi?

— Z daleka moi kochani, bo aż z Krakowa.

— Prawda, odpowiedziano, prawda, boć to będzie ze dwadzieścia mil drogi. Jak téż tam u was, pewno lepiéj, jak u nas.

— Albożto u was źle? zapytałem.

— Pewnie, że nie dobrze, odpowie Jędrzéj, — bieda ściga, — co człek chce uciec od niej, to ta bestyja cap za nogi i trzyma, — bij się z nią, toć jéj nie złapiesz, — szukaj więc wiatru po świecie.

— Jednakże jesteście weseli, jak mi się zdaje.

— Ba, — weseli, — wtrącił Antek z pod lasa, toć żeby nie ta uciecha u Mośka, to by nam przyszło poumierać we wsi.

— Jakże was Mosiek może pocieszać?

— Ha, ha, ha, — zaśmiano się jednogłośnie, a w końcu Antek doda:

— Trzeba panu wiedzieć, że nasz arendarz, to jak słońce dobry żydek, kiedy z nas kogo bieda gniecie, to jenou niego można znaleść pociechę. Boć czy to nie dobre człeczysko? — na frasunek poczęstuje wódką co aż miło, — pożyczy pieniędzy, jak trzeba, a rad daje każdemu bez liku. Doprawdy, że drugiego takiego człowieka, jak nasz poczciwy Mosiek to nie znaleść i pod słońcem... Mówi on wprawdzie czasami: „Wy goje, wy chamy, ja was wszystkich porobię dziadami, za to, co mój ojciec wyszedł od was na dziady, — ja wam dam, aj waj“, ale to są jeno wierutne żarty Mośka. Ot zwyczajnie, on lubi żartować, więc téż i żartuje, — któż mu to zabronić może. On to mówi, a my się śmiejemy, ponieważ wiemy, że nam dobrze życzy i kwita!! Ej, co tam gadać próżno, — Mośku dajno wódki, trza się napić z tym panem, widać że to poczciwe człeczysko.

— Co? wódki? — wy mnie już winni dwa reński.

— No i cóż z tego, żem ci winien — przecież ci zapłacę, — a zresztą, żniwa za pasem, to sobie weźmiesz żyta, jeno daj wódki.

Na taki argument Mośko zaraz przyniósł kwaterkę gorzałki.

— Widzi pan, jaki to dobry żyd, zaraz dał anyżówki.

— Nu ja dobry, to ma się wiedzieć, to cała wieś przecie wie dobrze o tém; — ja porządny aj waj, mam pieniądzów, żonę, bachory i wsistko co mi trzeba, — aj waj, jaki ja go porzadny...

Chciał jeszcze coś więcéj opowiadać Mośko, ale mu przerwał Walenty.

— Choć no żydzie, zawoła Walek, daj, tu kwartę anyżówki — winienem ci już 6 reńskich, to dopisz jeszcze za kwartę wódki, — a przyjdź jutro do mnie, to ci dam za to jałówkę, jeno mi co dopłacisz. Rozumiesz Mośku?

— Za co nie mam rozumieć — ja wsistko rozumię...

Kiedy Antek z pod lasa przypijał do mnie anyżówkę, przybiegło kilku gospodarzy do arendarza, i każdy o coś prosi. Ten obiecuje żydowi cielę, ten siana, ów znowu zboża, byle tylko dostać wódki i zalać nią, jak to mówią, robaka. Mosiek dawał, co kto chciał, — a za to robił układy z włościanami, które potem zapisywał swoimi znakami.

* * *

Widząc z tego co się święci, — aż mi się łzy zakręciły w oczach. Żal mi było biednych gospodarzy, co się tak pozwolą niszczyć niegodziwemu żydowi. Oni myślą, że Mosiek jest ich przyjacielem, a nie wiedzą nieszczęśliwi, że sami lezą do łapki zastawionéj przez żyda. Mosiek postanowił zniszczyć wieś całą, nawet im sam o tém powiada, a lud ciemny uważa

to za żarty.... Jakby tu zaradzić temu złemu? —

Takie i tym podobne myśli wielce mnie zajęły, na widok nieszczęścia, jakie sobie wioska gotowała. Radziłem wprawdzie owym gospodarzom, aby nie wierzyli nic Mośkowi, bo on ich chce zgubić, — mówiłem, iżby daleko lepiéj zrobili, żeby porzucili karczmę na zawsze, a natomiast, aby urządzali zabawy u siebie w chacie, jezeli już koniecznie będą się chcieli zabawić, — ale o ile mi się zdało, nie wielki skutek odnosiły moje słowa.

Zasmucony więc, pożegnawszy weselących się gospodarzy, i przewiesiwszy znów moję torbę przez plecy, ruszyłem daléj w drogę. Droga właśnie szła przez środek Woli, która bardzo smutny obraz przedstawiała. Było tam chat bardzo wiele, zabudowań co nie miara; ale cóż z tego, kiedy dzisiaj wszystkie budynki stały na pół powalone, a urodzajne pola, zamiast się złocić pszenicą dojrzewającą, czerniały kąkolem i chwastem. Jedynie tylko stare sady, co świadczyły o dobrych niegdyś we Woli gospodarzach, łagodziły swoją zielenią: obraz upadku i ubóstwa wioski. O dzieciach wyglądających z chałup — to już nie ma i co mówić, — co takie wszystko było brudne i mizerne. A jeśliś zobaczył co z dobytku — to wszystko takie było suche, żeby na niem ognia mógł skrzesać.

Z tego, cośmy tu powiedzieli o Woli, widać jasno,— jak na dłoni, — że Mosiek rzeczywiście wyprowadza na dziadów głupich gospodarzy.

Idąc zwolna gościńcem, — spotykam nagle swego dawnego przyjaciela.

— A co ty tu robisz Antosiu; zawołałem ucieszony.

— A ty zkąd się wziąłeś u nas? zapyta mój przyjaciel, jakże mi się miewasz, zajdźże do mnie, — jestem tu nauczycielem, więc mam chatę, w któréj ci rad będę z duszy.

Nie dałem się prosić tą razą; za chwilę też siedziałem z moim przyjacielem w jego mieszkaniu. Skorom mu opowiedział wszystko co do joty, com widział w karczmie, i co robi niegodny mosiek, poczciwy Antoni, westchnął ciężko, a potém mi odpowie:

— Mój kochany, ja na to złe ciągle patrzę, i serce mi się kraje, widząc niegodziwość żyda i głupotę gromady. Ale cóż mam robić.

— Ot, jest rada, posłuchaj i dobra rada, odpowiem.

— Jakaźże, powiedz żywo? zapyta Antoni.

— Chodzą dzieci do szkoły?

— Chodzą — lecz bardzo mało.

— Więc dobrze. Byłoby dobrze, abyś w każdą niedzielę po nabożeństwie, zbierał dzieci do szkoły, a z niemi razem trzeba zapraszać i ich rodziców. Po nauce dzieci, przyjdzie czas i na rozmowę, więc rozmawiaj serdecznie z każdym gospodarzem i gospodynią bądź ich przyjacielem.

— Dobrze to jest, ale....

— Poczekaj, zaraz skończę. Gawędząc tak razem, to o tém, to o owem, zejdzie wam i z dobrą godzinę. Na wesołości wam pewno nie zbędzie, — więc można i kieliszek wódki wypić, i pobawić się po ludzku bez obrazy pana Boga i uszczerbku w gospodarstwie.

— Ależ mój kochany, przecież to szkoła.

— Tym właśnie lepiéj, że szkoła; przy zabawie będzie i nauka. Zamiast bowiem do karczmy na zabawę, woli przyjść niejeden gospodarz do szkoły na pogawędkę i zabawę przyzwoitą i uczciwą. Tym sposobem szkoła będzie wzrastała, a żydzisko musi upadać powoli, spróbuj tylko, a zobaczysz, jakie sprawisz dobrodziejstwo dla siebie i gromady. Długośmy jeszcze rozmawiali, ale, że to już słońce miało się ku zachodowi, czas więc było dla mnie do podróży. Pożegnałem przeto Antoniego, a wychodząc z jego mieszkania rzekłem.

— Pamiętaj tylko mój kochany, postępować tak, jakieśmy mówili, a cała wioska będzie szczęśliwa.

— Bądź pewny, że się nie zawiedziesz, odparł Antoni.

We dwa lata od owego zdarzenia mieszkałem od kilku miesięcy w Krakowie, ciemnieć się już zaczęło, więc zapaliłem świecę i siadam do roboty. Zaledwie jednak zacząłem pracować, słucham, a tu ktoś puka do mieszkania, — otwieram więc, — patrzę, a tu stoi przedemną przystojny mężczyzna około 30 lat wieku mający. Domyślacie się zapewnie, że to był ten sam pan Antoni nauczyciel, com się z nim spotkał we Woli.

— Jak się masz! zawołałem.

— Doskonale, — mój drogi, odrzecze Antoni, — przyjechałem ci właśnie podziękować za twoję przyjacielską radę.

— A cóż się stało?

— Wszystko jak najlepiéj. Stosownie, jakieśmy się uradzili, postępowałem z dziećmi i

gromadą. Z początku mi się nie wiodło, ale późniéj, to żaden gospodarz nie chciał słuchać o karczmie, jeno co niedzielę, a czasem i w tygodniu zbierali się z dziećmi w szkole, gdzie bywali obecni nauce dzieci, a jak była pora do woli, to się zabawili do woli. Nie upłynęło téż i roku, a moi gospodarze rosną na majątku i dobrem imieniu, jak na młodziach; — zamiast biedy, powróciło bogactwo do chaty.

— A z żydem co się stało? zapytałem.

— Ho, ho.—mosiek klepie biedę aż strach, i przeklina mnie i ciebie, żeśmy mu takiego figla wyrządzili. Ale to nic, niech sobie tam żydzisko gada, co chce — a my róbmy swoje, co nam nakazuje miłość bliźniego. Doprawdy, — nie uwierzysz, jakem nieraz kontent; — często idę gościńcem, a tu mosiek prosi Walka, Stacha itp. o pożyczenie pieniędzy, lub o zborgowanie żyta, na widok czego, przychodzi mi zaraz na pamięć przysłowie: *kto pod kim dołki kopie, sam w nie wpada.*

Fr. Ksaw. Martynowski.

GOŚCINNOŚĆ POLSKA.

Wielka zawsze gościnność była między Polakami i między wszystkiemi słowiańskiemi pokoleniami. U nas w Polsce był zwyczaj u panów i u wieśniaków, że zawsze w domu był stół nakryty obrusem lub kobiercem, a na nim stała flasza z jakim napojem lub dzban piwa i czarka czyli kubek, chleb i sól; było to w tym celu, żeby gościa zaraz w progu poczęstować witając. Z wielką radością każdy Polak przyjmował gościa w swe progi — bo mawiano, że kto gościa w dom przyjmuje ten przyjmuje Boga. Ztąd też powstało przysłowie: „Gość w dom, Bóg w dom," albo „czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą."

Jeden nasz poeta tak opisał gościnność polską:

Wielkie domy za granicą,
A w nich ciasno, choć nieludno;
U nas mury się nie świecą,
A o kącik nie tak trudno.
Ledwo człek by czasem wierzył,
Dom nie wielki, w tém gość wchodzi:
Ot i domek się rozszerzył,
I wnet miejsce gdzieś się rodzi.
Przybył drugi i dziesiąty
I nie ciasno tam nikomu:
Wyprzątnięto wszystkie kąty,
Coraz szerzéj w małym domu;
Zda się, że pan domu sobie
Ścian i miejsca gdzieś przysporzył,
A on tylko w domu tobie,
Drzwi i serce swe otworzył.
I ta strzecha choć uboga,
Chociaż nizka, przecież blizka,
Dla obcego i dla swego,
I od Boga, aż do wroga,
Jest tu miejsce dla każdego.
A dopieroż to przyjęcie,
Jakie bywa w polskim domu!
Jak tam każdy poczczon święcie
Jak nie braknie nic nikomu!
W dzień wesoło, w noc rzęsisto,
Biało, gładko, potoczysto,
Czeladź syta i okryta,
Wszystko w czasie urządzone,
Przymaszczone, osłodzone,
Indyk kruchy, kapłan tłusty,
A do tego dzban nie pusty;
Jest czem serce rozweselić,
Jest się wszystkim czem podzielić;
Choć przyjęcie najłaskawsze
Jest mis parę, pare dzbanów
Zastawionych jeszcze zawsze,
Dla zagórskich panów!

Przy obiadach zastawiano dawniéj przy stole zawsze jedno miejsce próżne dla gościa, jeżeliby w czasie obiadu przybył; a zastawienie to nazywało się dla zagórskich panów.

SŁÓWKO
O GOSPODARŻACH W ZIEMI
Polskiéj pod zaborem Moskali.

Nic może tak człowieka nie zaciekawia, jak to, co się dzieje na innych ziemiach i u drugich ludzi. Ciekawość taka, jest bardzo dobrą — bo ona uczy nas więcéj myśleć przez porównanie tego, jak wygląda świat Boży gdzieindziéj, z tém co się u nas dzieje. Bo weźmy np. człowieka, który nigdzie nie bywał, ale od urodzenia pozostawał w jednéj wiosce, — i porównajmy go z człowiekiem, jak to mówią bywalcem, co to patrzał się na różne kraje, ludy, wsie i miasta — i porównajmy ze sobą owych dwóch ludzi, to niezawodnie zobaczymy, że ów bywalec daleko mądrzejszy, od tego, co siedział całe życie w domu. Ponieważ nie każdy człowiek może być w rozmaitych krajach, albo i okolicach, dla tego też pożytecznem jest dla takiego człowieka, czytanie książek, co piszą o drugich krajach i ludach. Tym sposobem czło-

wiek siedzący na swojéj zagrodzie, może mieć wyobrażenie, jak prowadzą gdzieindziéj gospodarstwo, aby wedle tego mógł polepszyć swój majątek, lub szczycić się z niego jeżeliby się okazał lepszym.

Mając zamiar często podawać w naszem pismie, wiadomości o gospodarzach i gospodarstwach z różnych ziem polskich, opowiemy tu dzisiaj nieco o gospodarstwach z okolic Kalisza, miasta starożytnego, leżącego blisko granicy pruskiéj, w Królestwie Polskiem, które to Moskal uciska nieustannie.

Niedaleko *Kalisza* leżą miasta *Konin* i *Koło*, — w okolicy zaś owych miast byt włościan jest w bardzo kwitnącym stanie. Każdy z tamtejszych włościan poznał doskonale wartość ziemi, dla tego téż chetnie bierze się do pracy, wznosi porządne zabudowania, pola uprawia starannie, orze pługiem ulepszonym, tak zwanym *Wrzesińskim*, wóz ma na żelaznych osiach, — ba, a zamożniejszy posiada prócz tego porządną bryczkę, którą jeździ do kościoła, na targi, lub na inne podobne wycieczki albo zabawy.

Najlepszym dowodem bogactwa i ładnych majątków w tamtych okolicach, jest wysoka cena ziemi; albowiem średnio za mórg 300 prętowy, z odpowiedniemi budowlami, chętnie pomiędzy sobą płacą po 150 do 180 rubli srebrem, co wyniesie na nasze pieniądze od 240 złr. do 288. Zamożność włościan widocznie tam z każdym dniem wzrasta.

Jako przykład możemy tu postawić włościanina Macieja Sadowego, który zacząwszy gospodarzyć na 15tu morgach, odziedziczonych po ojcu, tak się dorobił uczciwą pracą, że dziś takiego majątku nie kupiłby i za 60 tysięcy złr.! Maciéj Sadowy ma jednego syna i siedm córek — odpowiednio też do swego majątku każde dziecko uposaża. Jak nam wiadomo, przeznaczył on każdéj córce na wiano po 8 tysięcy złr. a synowi zakupił w tym roku kolonię za 16 tysięcy złr. Wszystko to, jest jasnym dowodem, że „prawdziwa i rzetelna praca ludzi wzbogaca“ — Bo on kmiotek n. p. doszedł do takiéj pięknéj fortuny, nie żadnem krętactwem, ale szlachetną pracą, ponieważ pracą rąk własnych, swéj rodziny i czeladzi. Przez to też zyskał sobie powszechny szacunek nie tylko pomiędzy włościanami, ale nawet pomiędzy ludźmi, co się to poszczycić mogą i nauką i kochaniem bliźnich.

Do wielkich zalet charakteru Macieja Sadowy należy jeszcze i to, że pomimo całego bogactwa swego, nie pogardza prostą siermięgą chłopa, ale ubiera się w takie same kapoty, jakie nosił dawniéj, w jakie się ubierali jego pradziadowie. A o religijności jego, to już ani nie mówić człowiekowi — bo i w tym względzie stoi wzorem na całą okolicę i godnie naśladuje cnoty praojców naszych.

Takich i jemu podobnych gospodarzy, jak nasz Maciéj w okolicach Kalisza, Koła, Łęczycy, Łowicza itp. miast, możnaby naliczyć wielu. Ale bo téż tam ludziska robią na ziemi, co się tylko da robić. Jak przyjedzież do którego z miast tamtejszych to wszędzie fabryk, jak lasu, samo np. miasto Łódź mające przeszło 50 tysięcy mieszkańców, wydaje się oku, jakby jedna wielka fabryka, najeżona czarnymi i dymiącymi się nieustannie kominami rozmaitych zakładów przemysłowych, gdzie wyrabiają sukna, korty, płótna, perkale, płócienka, mydło, świece, materyje jedwabne, wozy, pługi, karety, przeróżne kotły i maszyny, fortepiany, słowem, co jeno ludziom potrzeba. Ztąd téż każdy człowiek ma odpowiednie sobie zajęcie. Jedni pracują na roli, drudzy w fabrykach, a są tam takie fabryki, co w jednéj czasem więcéj jak tysiąc ludzi pracuje. Inni znowu, zajmują się dostawianiem potrzebnych materyjałów do fabryk. — Tym to sposobem wszyscy pracują i dobrze im się za to powodzi.

Chociaż Moskal uciska tam, aż strach, jednak na chlebie gospooarzom nie zbywa, — chociaż nieprzyjaciel przeszkadza w zakładaniu szkółek ludowych, to przecież tam i sami kmiecie uczą się a pracują aż miło. Wiedzą oni dobrze, że tylko w pracy i nauce leży ich dobro, to téż ściśle się tego trzymają. Byłoby też jedynem szczęściem dla nas, gdybyśmy ich tylko naśladować zechcieli!

Franek Mazur.

OPOWIADANIE PANA NAUCZYCIELA
Wareża.

(Ciąg dalszy).

— Zgadnijcie też, rzecze p. Waręż do zebranych gości, o czem ja myślę teraz opowiadać?

Na takie zapytanie zaczęli wszyscy uderzać do głowy po rozum; myślą, jedni to, drudzy owo, — a wszyscy chcieliby zgadnąć. Stary Jan z Józefem coś szepcą, wskazują na kartę co leżała na stole, a która wyobrażała rozmaite kraje, to pokiwują głowami, na znak, że nie mogą rozwiązać zagadki. Było z pięć minut takiego rozmyślania. I kiedy wszyscy, myśląc,

spoglądają po sobie, mały Jacek syn wójta jeno się rumieni, aż mu się oczy iskrzą z radości. Wszyscy też na niego zwrócili uwagę, ale nikt nie wiedział, czem tak zajęty synalek wójta. Po chwili jednak zapyta pan Waręż:

— A co, Jacusiu, — może ty wiesz, o czem ja chcę mówić?

— O! wiem, wiem dobry panie nauczycielu.

— Więc mów śmiało!

— A może to nie o tém, co ja myślę.

— Nic nie szkodzi, mów,— a zobaczymy, czy to będzie.

— Ha! kiedy tak, to dobrze, będę opowiadał, co wiem, a pan nauczyciel się pewno o to nie rozgniewa.

— Jeszcze ci dam obrazek, mój kochany.

— Opowiadał nam pan już o Litwie, o Polsce, co to Moskal tak ciężko nad nią panuje, o rozmaitych krajach Austryi i Galicyi, co do cesarstwa należy, więc teraz przyjdzie kolej na inną ziemię, a niezawodnie na tę, co nam jest najbliższa. A jak mi się widzi, to Prusy leżą najbliżéj nas, ztąd też na Prusy kolej przypada.

— Zgadłeś mój Jacusiu, masz za to obrazek, a uważaj, co będę mówił. Szymuś, Kuba, Antek, i inne chłopcy gospodarzy, aż się za głowy brali z zazdrości, że ich Jacuś wyprzedził, — a starsi zaś jeno spoglądali po sobie i myśleli w duchu: Ot, żeby to wszystkie dzieci były takie mądre, jak Jacuś, miły Boże!

— Otóż tedy, rzecze pan Waręż, o Prusach będę wam teraz opowiadał. Za dawnych bardzo czasów, bo jeszcze przed królem Łokietkiem i Kazimierzem W. ziemie, na których powstały Prusy, należały do Polski. W dawnych latach, królowie Polscy, chcąc się zabezpieczyć od napaści Niemców i różnych ludów pogańskich, co żyły nad morzem Baltyckiem, sprowadzili z krajów południowych zakon zwany *Krzyżakami*. Zakon ten utworzył się dla tego, aby nawracał na wiarę chrześciańską pogany i bronił narody uciskane przez nieprzyjaciół. Krzyżacy przeto byli rycerzami, i księżmi zarazem. A że to byli ludzie mądrzy, więc umieli się modlić, nawracać pogan, a w razie potrzeby suszyć skórę nieprzyjacielowi.

Ponieważ, jak to już mówiłem, Polska bywała napadaną i gnębioną przez Niemców, więc Konrad, książe na Mazowszu, co pochodził z rodu Piasta kołodzieja, dał Krzyżakom ziemię Dobrzyńską, leżącą nad Wisłą niedaleko Kruszwicy. Kraik ten, dał książe dla tego, aby nawracali pogan Prusaków i chronili Polskę od Niemców, z warunkiem jednak, aby ziemię Dobrzyńsk później oddali Polsce. Krzyżacy się na to zgodzili, ale późniéj, kiedy im pióra podrosły, dalejże drzeć koty ze swojmi panami tj. Polakami. Przestali oni nawracać pogan, lecz ciągle myśleli jeno o tem, jakby powiększyć swoje panowanie. i jakby najwięcéj ludów zagarnąć pod siebie.

Z tego też powodu zamiast pomocy, miała Polska nieustanne wojny z Krzyżakami, na których wiele cierpiała. Ale nie sami Polacy cierpieli od Krzyżaków; — Litwini, to aże drżeli na samo wspomnienie tego Zakonu, który niby to nawracał Litwę, lecz nawracanie było tylko pozorem, bo w rzeczywistości palili miasta i wsie litewskie a lud zabierali do niewoli. Takie to było panowanie Krzyżaków. Jednak Pan Bóg, co nie chce niczyjéj krzywdy, nie pozwolił na większe panoszenie się Krzyżaków.

Przeszło pięćset lat temu, jak Jagiełło Władysław, wielki książe litewski ożenił się z królową Polską Jadwigą, i przez to małżeństwo połączył Litwę z Polską. Przez takie połączenie się Polska i Litwa stały się jednem wielkiem a silnem państwem. Zebrał też Jagiełło wielkie wojska i pobił na głowę Krzyżaków pod Grunwaldem i Tanenbergiem 1410 roku. Po owéj przegranéj Krzyżacy zaczęli coraz więcej upadać. Przyszło nawet do tego, że za Zygmunta Augusta króla Polskiego wielki mistrz krzyżacki Albert, który tyle znaczył co król w jakiem państwie, porzucił suknie zakonu i tym sposobem został świeckim książęciem na ziemiach brandemburskich. Król Zygmunt August zezwolił na to — a książęta owi obowiązali się składać hołd Polsce, na znak, że są jej poddanymi.

Z początku składali oni chętnie hołd Polsce, ale później wyłamali się od tego zupełnie, — a co gorsza, stali się nawet niebezpiecznymi i dla samej Polski. — Siły ich i znaczenie wzrastały prawie codziennie — a z naszej strony trudno było temu zapobiedz, bośmy już wtedy osłabli bezrządem i domowemi kłopotami!

Zamiast więc obrońców, znaleźliśmy tylko nieprzyjaciół najprzód w Krzyżakach, a potém w książętach brandemburskich, którzy dali początek królestwu pruskiemu. Taki to był początek państwa pruskiego!

— To Prusy, rzecze Jacuś, powstały na ziemiach Polskich, i za to nam tak dokuczają! O! darować im tego nie możemy, zobaczycie, panie nauczycielu, że oni pożałują tego, jeno my podrośniem i nauczymy się więcej!!..

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Łatwy sposób rozpoznania skóry dobréj od niedokładnie garbowanéj.

Aby się przekonać o jakości skóry trzeba uważać: 1) na jej powierzchowność a 2) na zachowanie się jej w gorącej wodzie.

Dobrze wygarbowana skóra ma kolor ciemny, zwykle czerwono brunatny: jej przecięcie ma pozór jednostajnie ciemny, jak lico skóry bez ciemniejszych pręgów, jest jednostajnej mocy, giętka, nie zostawia rysów ani fałdów po zgięciu. Cienko ucienty skrawek zagotowany w wodzie, kurczy się, staje się nieprzejrzysty, nabiera koloru kawowego, a po oziębieniu łamie się w palcach. Odwar z niej jest przejźroczysty, koloru czerwono-brunatnego, odparowany do gęstości syropu po ostudzeniu nie tężeje na galaretę.

Niedokładnie wygarbowana skóra ma kolor jasny, zwykle żółty w odcieniach do żółto brunatnego. Przecięcie jej jest zwykle niejednostajne, jaśniejsze od lica skóry, z brunatnymi pręgami. Jest pulchniejsza, po zgięciu zostawia fałdy, szczególniej dzieje się to przy skórze czarno-bejcowanej. Cienki skrawek zgotowany nadyma się, staje się przejźroczysty i łykowaty, jak skórka ze słoniny; między palcami tarty jest miękki i kleisty. Odwar już w czasie chłodzenia staje się mętny, żółcieje do barwy żółto-brunatnej, a po odparowaniu do gęstości syropu ostudzony, tężeje na galaretę.

„Rękodzielnik.“

Co słychać w świecie?

Mowa tronowa zwykle bywa układana przez ministrów a odczytywaną przez Cesarza w Radzie Państwa. Ponieważ Ministeryum teraźniejsze składa się z samych centralistów to téż mowa tronowa nie w innym duchu tylko w centralistycznym została ułożoną. Wyrażonem w niéj jest, że rząd gotów jest do najrozleglejszych ustępstw byleby te nie nadwerężały jednolitości państwa. Mowa tronowa zwykle bywa uważaną za program rządu i według tego jest ocenioną. Obecna mowa tronowa zawiera bardzo wiele dobrych rzeczy, tylko tego nie ma w niéj, czego ludy nie niemieckie Austryi dla swego uspokojenia i rozwoją potrzebują. O ile więc z téj mowy dopatrzeć się możemy programu ministerstwa, obiecuje ono dać Galicyi, ile dać będzie można. Chociaż mają się zaprowadzić bezpośrednie wybory do Rady Państwa, jednak ma być zachowana autonomija sejmów. Dalej ministerstwo obiecuje opiekować się szkołami, ustawy dotyczące kościoła katolickiego, reformy w sądownictwie, udoskonalenie landwery, podwyższenie płacy urzędnikom, jakoteż niższemu duchowieństwu itd. lecz nie wspomina o wydaniu ustawy, którąby urzędy i władze szkolne zmuszone zostały do czynienia zadość narodowym potrzebom. Tamte rzeczy wszystkie mogą być dobre, ale jak głodnemu tylko chleb na myśli, tak nam tylko zaspokojenie narodowych potrzeb jest pożądane. Wprawdzie znajduje się w niéj słówko *narodowe podstawy*, które mają posłużyć do zjednoczenia ludów Austryi, lecz nie wiemy, czy z tego słówka co więcéj wywnioskować można. Wiemy zaś jak centraliści rozumieją artykuł 19 i uwzględnianie narodowych potrzeb, tłumacząc, że równouprawnienin narodowe znaczy, iż każdy ma prawo uczyć się po niemiecku, takim wykładem też istotnie odwleka się wykonanie równouprawnienia. Niemieckie dzienniki wielce są zadowolone z programu w mowie zawartago. Czeskie pisma stawiają reskrypt cesarski z 12 września obok mowy tronowéj.

Po odczytaniu mowy tronowéj, które odbyło się ze zwykłą okazałością w burgu, zebrała się izba poselska na posiedzenie d. 28 zm. i obrała prezesem pana Hopfena a wiceprezesami Vidulicza i Gustawa Grossa. Przyjęto wniosek naglący doktora Herbsta aby na mowę tronową odpowiedzieć adresem i wybrać do tego komissyję. Następnie wniesiono przedłożenia rządowe: 1) akta wyborcze tyczące się bezpośrednich wyborów czeskich; 2) żądanie trzechmiesięcznego poboru podatków zanim ustawa finansowa na rok 1872 uchwaloną zostanie; 3) ustawę finansową na rok 1872; 4) żądaaie dodatkowego kredytu na rok 1871 w wysokości złr. 3,591,464; 5) projekt pożyczki 20 milijonów złr.; 6) projekt sprzedaży części dóbr skarbowych; 7) umowę z przedsiębiorstwem Lloyda; 8) traktat telegraficzny. Z ustawy finansowéj na rok bieżący okazuje się, że niedobór tegoroczny wynosi 50,781,074 złr. Trzechmiesięczny pobór podatków uchwalono natychmiast. Dr. Zyblikiewicz jednak oświadczył, że Polacy ze względu na potrzebę prowadzenia bez przerwy administracyi państwa na pobór ten dozwalają a bynajmniéj nie przez zaufanie teraźniejszemu rządowi. Podobnie uczynił książe Czartoryjski, hr. Larisch, hr. Hardegg, ks. Schwarzenberg, ks. Paar, hr. Falkenhayn i inni. W izbie poselskiéj posłowie galicyjscy wnieśli rezolucyję sejmu galicyjskiego z r. 1868 z żądaniem by dla niéj wybrano komissyję z 24 członków. Izba się zajęła potém wybraniem kilku komissyj a w końcu prezydent oznajmił, że przyszłe posiedzenie zwołanem będzie dopiero, gdy wydział adressowy przedłoży swój wniosek. Rezolucyja galicyjska więc znowu przydzielona komissyi w Radzie Państwa. Już tam była nieraz; komissyja zatrzymywała ją każdą razą podczas posiedzeń Rady Państwa u siebie aż potém brakło czasu do obradowania nad nią. Czy się jéj tą razą lepiej powiedzie, zobaczymy. Może być jednak, że centraliści uczynią jakie ustępstwa Galicyjanom aby ich odosobnić od innych Słowian austryjackich. To jednak znaczyłoby, iż Polacy czynią ze Słowian ofiarę centralistom, aby coś niepewnego dla siebie uzyskać.

Czeski wydział krajowy niechciał dać z funduszów krajowych pieniędzy na utrzymanie szkół ludowych, ponieważ nie są na mocy ustawy sejmu czeskiego urządzone. Namiestnik zagroził sekwestrem funduszów krajowych i jako prezes krajowy rady szkolnej kazał na razie wziąść 140,000 złr. z dodatków krajowych.— Urzędy czeskie mają wiele kłopotu z reskryptem cesarskiem z 12 września. Czesi bowiem przylepiają go ciągle na publicznych miejscach, a władze go konfiskują.

Między rządem węgierskiem a Chorwacyją toczą się znowa rokowania ugodne i odbyło się już kilka konferencyj. Rząd węgierski podobno jest gotów dać Chorwatom większą swobodę w zarządzie finansowym, użyczyć im większego wpływu przy mianowaniu bana; uczynić ministrów chorwackich odpowiedzialnymi sejmowi krajowemu.

Urzędowe dzienniki pruskie rozbierają pytanie, czy nie potrzeba napowrót zająć niektóre opuszczone departamenta francuzkie. W tym celu wyszukują rozmaite wojenne i polityczne przyczyny. Widać z tego, że Prusy szukają sposobności by dobrze udręczyć Francyją i obawiać się trzeba aby Francyja nie została doprowadzoną do ostateczności.

Mowa noworoczna cesarza Wilhelma do jenerałów jest bardzo krótka. Jest ona w tym samym duchu jak zwykł był mówić cesarz Napoleon III. „Cesarstwo jest pokojem.“ Co znaczy, że jeżeli cesarstwo francuzkie będzie istnieć i będzie potężnem to nikt się nie ośmieli mącić wody. Tak samo należy rozumieć i słowa cesarza Wilhelma. A jeśli się nie sprawdzały słowa tamtego cesarza to i słowom cesarza Wilhelma równie mogą się nie spełnić. W sejmie pruskim przyjdzie niebawem do stanowczéj uchwały, mającéj zmienić charakter szkół. Rząd podniósł kwestyję odebrania kościołowi nadzoru nad szkołami i objęcia go przez państwo.

Racionaliści chcą użyć tego środka, aby uzyskać od rządu szkoły bezwyznaniowe, tj. takie, gdzieby nie było żadnéj religii panującéj. Rząd Badeński zwinął od nowego roku ministerium wojny, jako zbyteczne po oddaniu całéj administracyi wojsk w ręce pruskie. Rząd pruski ostatnimi dniami zajął się urządzaniem kas pożyczkowych, stanem fabryk i położeniem robotników. Na naradzie zebranéj w tych przedmiotach przez Ministra handlu rozbierano; stosunek robotnika do majstra i fabrykantów; współzawodnictwo fabryk; opiekę nad dziećmi i kobietami po fabrykach pracującemi, długość dziennéj pracy; zapewnienie bytu dla kalek; czas przyjmowania, wypowiadania i oddalania robotników; wy-

chowanie we wszystkich warstwach robotniczych. Daléj rozbierano kwestyję zakładów dla robotników, a mianowicie: jadalnie, kasy oszczędności, zabawy, biblioteki, mieszkania; sposób załatwiania sporów drogą polubownych sądów, i środki przeciw zapobieżeniu rozmaitym nadużyciom.

Roczniki „Włościanina“ i „Zagrody“ są do nabycia, obydwa za 2 fl. 50 c.

Od Redakcyi.

Wszystkich Szanownych Panów, którzy zatrzymują trzy egzemplarze pisma naszego, nieodesławszy takowych, uważamy za rocznych prenumeratorów, — i upraszamy o nadesłanie przedpłaty, abyśmy nie byli zmuszeni przypominać się.

Redaktor odpowiedzialny: *H. Jordan.* — Kierujący pismem: Fr. Ksaw. Martynowski.

Wydawca S. Jordan.

W drukarni W. Korneckiego i Spółki w Krakowie.